

Zawsze jest dobry moment by zmienić historię

Z Moniką Drożyńską rozmawia Beata Bialik

Mężczyźni uczynili z kobiet własność na wszelki wypadek, żeby dzieci innego ojca nie mogły po nich dziedziczyć.

Beata Bialik: Spora ta twoja makatka. Długo haftowałaś?

Monika Drożyńska: „Przyjaciółki Wałęsy” powstawały przez tydzień. Nadgarstki mi cierpły, palce miałam pokłute. Ta moja sztuka zaangażowana to ciężka fizyczna robota.

Skąd taki pomysł?

Wszystko zaczęło się od koleżanki, która pracowała nad artykułem dotyczącym kobiet w religii. W rozmowie wspominała Martę i Marię, nazwała je przyjaciółkami Jezusa. Bardzo mnie to poruszyło, chciałam zostać trzecią przyjaciółką. Tak powstał haft: Monika, Marta, Maria. Marta to ta racjonalna, obmywała rany, gotowała posiłki, zajmowała się Jezusem fizycznie, Maria była przyjaciółką intelektualną, wspierała mentalnie, otaczała opieką. A ja postanowiłam zostać tą od imprezowania. Haft „Przyjaciółki Jezusa” był częścią mojej zeszłorocznej wystawy zatytułowanej „Woda i wino” w galerii Biuro Wystaw w Warszawie. Imion kobiet towarzyszących Jezusowi wyhaftowałam kilkadziesiąt, bo nagle uświadomiłam sobie, że musiało być ich o wiele więcej. Zarówno w Biblii, jak i w całej historii.

Jestem artystką, a nie historyczką. Nie mam biura ani sztabu ludzi, pracuję w pojedynkę. Sprawdzam to, co mogę, a kobiety w książkach i dokumentach pojawiają się rzadko. Do „Przyjaciółek Wałęsy” przeczytałam kilka książek, obejrzałam film Marty Dzido i Piotra Śliwowskiego „Solidarność według kobiet”. Moje poprzedniczki zajmujące się tym tematem – Marta Dzido, Shana Penn, Ewa Kondratowicz, Anna Herbich – wykonały ogromną pracę w tym zakresie.

Haftuję to, co znajdę, i to, co wymyślę. Sama za to płacę. Zamiast kupić sobie kieckę, drukuję plakaty. Pewnie gdybym posiedziała rok w archiwach, znalazłabym więcej tych nazwisk, ale to nie moja bajka.

Dużo tych nazwisk wymyśliłaś?

Tutaj jedynie pięć. Tych prawdziwych było bardzo dużo. Do „Przyjaciółek Jezusa” nie przygotowywałam się wcale. Nie zakładałam wtedy, że to będzie seria. Teraz będę haftować „Przyjaciółki Piłsudskiego”, tam wymyślonych nazwisk będzie 70 proc. Ale szukam, zgłębiam meandry epoki, jednak tych źródeł nie ma zbyt wiele albo ja do nich nie dotarłam. Cały czas jest we mnie pewna ambiwalentność. Bo historia została wymyślona na czyjeś potrzeby, a teraz ja używam tych samych narzędzi, żeby zaspokajać potrzeby własne. Manipuluję faktami, wprowadzam nieistniejące postaci, chcę dzięki temu pokazać, czym jest historia, co nam robi, komu i czemu służy.

Chciałabyś, żeby ktoś kiedyś opisał Drożyńską jako Kowską?

Wolałabym zostać Drożyńską. Ale jeśli kiedyś w książkach o historii sztuki ktoś napisze, że była w Krakowie hafciarka, to wolę być Kowską, niż nie być w ogóle. Życie bez nazwiska na kartach historii w ogóle nie ma znaczenia.

A gdyby tę listę zostawić w zgodzie z prawdą?

Listę kobiet „Solidarności”? Po co? Takie listy już są. Zależało mi na tym, by robić prace o historii, a nie pracę historyczną. Interesuje mnie najbardziej to, czego nie wiemy i dlaczego tak jest. Jak na przykład zrobić listę pracowników krakowskiej Cygar-Fabryki? A to one zorganizowały pierwszy kobiecy strajk w 1894 roku na Dolnych Młynów w Krakowie. Nazwiska tych osób w

ogóle nie są znane, to podmiot zbiorowy. Te kobiety w większości nie potrafiły pisać, a strajk to był pierwszy moment, kiedy wypowiedziały się w swoim imieniu. Dla mnie najważniejsze jest to, by tym osobom dać podmiotowość. Nawet jak jest wymyślona.

Zarzucono ci, że wymyślając nazwiska, fałszujesz historię.

To bardzo duży komplement, że moje hafty mogą mieć wpływ na zafałszowanie historii. No i jaką ja historię fałszuję? Historię tych, którzy mi to zarzucają? Historię Polski? Tę, którą znały nasze babcie, czy tę, którą za chwilę pozna mój syn? Jak Spielberg zrobił „Listę Schindlera”, turyści odwiedzali ulicę Szeroką w Krakowie, mimo że tam wcale nie było getta. Film stał się ważniejszy niż fakty historyczne. Zarzut dotyczył także fałszowania prawdy. W wypadku historii chcę mówić o faktach. Prawd jest wiele, zależy, kto opowiada. Fakty są znane lub nieznanne. To, czego się uczyłam w szkole, a przede wszystkim to, czego się w niej nie nauczyłam, ma największe znaczenie.

Zdjęcia z akcji wieszania plakatów oznaczasz hashtagiem #WałęsaPosuńSię.

Historia „Solidarności”, strajku generalnego jest kojarzona głównie z nim. Szkoda, tym bardziej że to właśnie kobiety rozpoczęły strajk w stoczni, co było kluczowe dla wszystkich procesów transformacyjnych. Po prostu grupa kobiet nie myślała tylko o sobie. Dzięki swojej empatii wiedziały, że ten kawałek tortu, który jest do zdobycia, może być także dla innych.

A ty się o tym, że to kobiety rozpoczęły strajk, dowiedziałas w szkole?

Ależ skąd! Z książek, jak już byłam stara i po studiach. Uważam, że historia to wytwór kultury, została napisana z patriarchalnego punktu widzenia. Fakty są używane do różnych celów, ja daję sobie prawo, by wymyślać kolejną ich wersję. Tylko kobiety mogą zmienić historię kobiet. Bo same mamy doświadczenie bycia wykluczaną, pomijaną czy niewystarczająco dobrą. To jest dla mnie inspiracja, bo w sile naszych przodkiń możemy znaleźć swoją siłę i uczyć jej dalej. Zresztą świat nie jest binarny, taka struktura co najwyżej sprawdza się w moich pracach, ale nie w życiu. Nie ma zero-jedynkowości. Tak jak niektóre kobiety umacniają struktury patriarchalne, tak samo niektórzy mężczyźni je osłabiają. Bo w świecie są więcej niż dwie płcie, jest więcej niż jedna historia i całe mnóstwo prawd.

W filmie Marty Dzido „Solidarność według kobiet” jedna z bohaterek mówi, że to my same doprowadziłyśmy do tego, że faceci o nas zapomnieli.

To nie kobiety wymyśliły świat, uważam, że temu zapomnieniu winny jest system, w którym żyjemy. Wszyscy jesteśmy jego ofiarami. Patriarchat i kapitalizm udupiają nas co dnia. Kiedyś ludzie koczowali, nie było własności ani żadnych problemów z dziedziczeniem. Odkąd zaczęli osiadać, otoczyli się przedmiotami. Tak stało się też z nami, mężczyźni uczynili z nas własność na wszelki wypadek, żeby dzieci innego ojca nie mogły po nich dziedziczyć. Dlatego najbardziej poruszają mnie historie kobiet, które się wycofały, nie walczyły o siebie, zrezygnowały z zasług. Bo ich życie jest jednocześnie opowieścią o tym systemie. To opowieść o patriarchacie, który toczy nas od trzech tysięcy lat. I o tym, że warto go zmieniać. Moje hafty są różne. Czasem ładne, czasem brzydkie, wulgarne, nielegalne. Tu forma jest inna, większa przede wszystkim, no i czarno-biała. To taki rodzaj notatki. Jak wieszałam plakaty w Krakowie, rozmawiałam z kobietą, opowiadałam jej o tym, co robię. „Czyli tak sobie pani spisuje historie niteczką?” – spytała.

Warszawa, Kraków? Gdzie jeszcze rozklejasz plakaty z „Przyjaciółkami Wałęsy”?

Wieszam tam, gdzie jestem, i tam, gdzie mogę. W księgarniach, knajpach, kinach, czasem trochę nielegalnie. Ludzie zgłaszają się sami, na przykład pan, który mieszka pod Warszawą przy alei „Solidarności”, chciał, by zawisły na jego ulicy. Czasem ktoś chce plakat zabrać sobie do domu. Wieszałam w Warszawie, Krakowie i Sulejówku, gdzie mieszka moja rodzina. Z

chrześnicą i ciotką wzięłyśmy butelkę wina i z plakatami poszłyśmy nocą w miasto. Ciotka trochę się bała, ale ja zawsze chodzę na obcasach, używam czerwonej szminki, więc rzadko ktoś mnie zaczepia. Kamuflaż na damę pomaga, nikt we mnie nie widzi wandalki.